

Tytuł oryginału: Look Both Ways: A Tale Told in Ten Blocks

Tłumaczenie: Wojciech Białas

ISBN: 978-83-283-9925-9

LOOK BOTH WAYS by Jason Reynolds

Text Copyright © 2019 by Jason Reynolds

Published by Atheneum, an imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.

Published by arrangement with Pippin Properties, Inc. through Rights People, London.

Translation copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/rozgla>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

KOLEJNA AKCJA ŁYSOLI

MOGĘ TYLKO POWIEDZIEĆ, że jeśli zdarzy ci się kiedykolwiek zobaczyć Johna Johna Watsona, Francya Baskina, Tristę Smith, a zwłaszcza Brittona „Bita” Burnsa — czyli Łysoli — to lepiej pilnuj kieszeni. Ta czwórka potrafi ukraść wszystko, co dźwięczy, nawet twoje dłonie, jeśli trzymasz je w kieszeniach i robisz nimi za dużo hałasu. Prawdę mówiąc, to byliby gotowi ukraść ci nawet kieszenie, gdyby dało się to zrobić.

Któregoś razu weszli do niewielkiego sklepu, jednego z tych, w których na ladzie znaleźć można miskę z napisem **WEŹ GROSİKA, ZOSTAW GROSİKA**, i pozabierali wszystkie monety.

Nie pozostawiając w zamian ani jednej.

Zwędzić i dać nogę.

OK, zrobili to więcej niż jeden raz. Robili tak przez *cały* czas. Robili to tak często, że właściciel sklepu przestawił miskę za ladę i zaczął pojedynczo wydawać resztę każdemu klientowi z osobna. Zdarzało się też, że Bit, Francy, John John i Trista rzucali innym wyzwanie do ćwierćdolarowej bitwy, która polegała na tym, że dwóch przeciwników stawia ćwierćdolarówki na biurku albo na stole, a potem zaczynają nimi kręcić jak bakiem. Wygrywa ten, kto swoją ćwierćdolarówką obali tę należącą do rywala albo czyja ćwierćdolarówka dłużej pozostanie w ruchu. Ale ta ekipa nie przywiązywała uwagi do reguł. Zdarzało się, że ćwierćdolarówka przeciwnika była przytrzymywana albo że sam przeciwnik dostawał z piąchy. Dwadzieścia pięć centów to za mało, by ryzykować limo pod okiem.

Ale Łysole nie zabierali dla samego zabierania. Nie kradli dla zabawy. Właściwie to nawet za tym nie przepadali. Robili to, bo musieli. A przynajmniej tak im się wydawało. Zanim przewali się Łysolami, stanowili część innej grupy, do której należeli, bo nie mieli innego wyboru. Mówię o darmodokarmiakach. Co brzmi bardziej odłotowo, niż takie jest w rzeczywistości. Wcale nie oznaczało to, że dostawali darmowe posiłki, bo byli tacy niezwykli. Albo dlatego, że byli tak popularni i uwielbiani, że stołówka szkolna postanowiła im fundować paluszki serowe i karbowane frytki. Nic z tych rzeczy. Nazwa pochodziła stąd, że ich rodzice żyli z łapy do papy, byli biedni, spłukani i zupełnie bez kasy. Ich rodzice nie mogli wskrobać ani jednego do-

datkowego grosika, nawet jeśli ich dzieci nie dojadły. Nie mieli szans na pieniądze na lunch. I dotyczyło to każdego z Łysoli. Nie czuli z tego powodu dumy, ale też wcale się tego nie wstydzi, mimo że inne dzieciaki próbowały ich za to wyśmiewać.

— Ej, jeśli będę wam codziennie dawał skórkę od pizzy, a wy ją sobie schowacie, to pod koniec roku szkolnego uskłada wam się w ten sposób cały bochenek chleba — nabijał się Andrew Knotts, ale kiedy doszło to do uszu Bit... wystarczy powiedzieć, że Andrew już nigdy więcej tak nie żartował.

A tak w ogóle to Bit, John John, Francy i Trista nie byli jedynymi darmodokarmiakami w szkole, ale tylko ich rodzice mieli za sobą wygraną walkę z rakiem. Cała czwórka poznała się w wewnątrzszkolnej grupie wsparcia kierowanej przez pedagogkę szkolną, panią Lane. Siadywali w kółko i puszczali w obieg pudełko chusteczek, opowiadając o tym, jak ciężko jest obserwować, kiedy twoi rodzice gwałtownie chudną, ich włosy rzędą i wypadają, a ciała stają się ich własnymi wrogami. O tym, jakie to przerażające zastanawiać się, czy ich matkom i ojcom uda się z tego wyjść, czy nie, i jak mieliby żyć, kiedy ich zabraknie.

Żadne z tej czwórki nigdy nie rozmawiało o tym, jak wszystkie te operacje i terapie wywróciły życie ich samych oraz ich rodziców do góry nogami pod względem finansowym. To właśnie na to szły wszystkie pieniądze. Wspomnienie o tym fakcie nie należało do zadań pani Lane. Taka

tematyka nie wchodziła w zakres tych ckliwych spędów, które Bit traktował z udawaną rezerwą, jakby był na nie za twardy. Ale prawda jest taka, że dzieciaki nie zdawałyby sobie z tego wszystkiego sprawy, gdyby matka Bity nie opowiedziała mu ze szczegółami o swoich kłopotach. Zrobiła to. A Bit opowiedział o tym pozostałym. Zaś pozostali zaczęli przepytывать swoich rodziców, czy rzeczywiście tak jest.

— To nie twoje zmartwienie — stwierdziła mama Johna. Rak piersi.

— Kto ci o tym powiedział? — zapytał ojciec Francy. Rak prostaty.

— Nie chcę... nie chcemy cię okłamywać — wyjaśnił ojciec Tristy. Rak żołądka.

Rzeczywiście. Rzeczywiście. Rzeczywiście.

I to właśnie to jedno, nie sam rak, ale brzemię, jakie wszyscy musieli z jego powodu dźwigać, dało początek paczce Łysoli. Wszyscy ogolili głowy prawie do gołej skóry — w geście solidarności — a potem zaczęli kraść.

Była tylko jedna zasada.

Zabierać jedynie monety. Żadnych banknotów. Żadnej biżuterii. Żadnych portfeli. Tylko drobniaki.

Zazwyczaj wydawali je na jakieś dodatki podczas obiadu w stołówce.

Tego dnia były przeznaczone na coś innego.

* * *

Brzęczenie dzwonka oznajmiające koniec zajęć miało taki sam efekt jak wystrzał z pistoletu startowego albo dźwięk syreny alarmowej. Na Łysoli działało to tak, jakby ktoś spuścił ich z łańcucha. I tak też zareagowali. Wypadli ze swoich zajęć — Bit i Trista z angielskiego, John John z matmy, a Franczy z hiszpańskiego. Zatrzymali się przy swoich szafkach, powymieniali podręczniki, spakowali tornisty, a potem wybiegli ze szkoły i zebrali się na swoim zwykłym miejscu.

Na prawo od podwójnych drzwi znajdowały się trzy ławki. Pierwszą zdążył się już zaopiekować jakiś chłopak ubrany w szkolny mundurek, trzymający na kolanach połamaną deskorolkę — głaskał ją jak zbitego psa. Drugą zajmował Gregory Pitts i jego kumple wymachujący łapskami w kłębach dezodorantu pachnącego cynamonem, o ile cynamon przypomina zapachem czosnek. Ale to trzecia ławka była stałym miejscem spotkań Łysoli. To Bit wybrał ten punkt na ich bazę.

Bit był najdrobniejszy z całej ich paczki. I w oczywisty sposób jej przewodził. Nieustannie nawijał o tym, jak to już wkrótce śmignie i stanie się najwyższy w całej grupie, ale nikt mu nie wierzył. Lecz mimo że był o połowę mniejszy od swoich kumpli, przerastał ich wszystkich, jeśli chodzi o pewność siebie. I o temperament. Każdy wiedział, że ma nokautujący cios. Pewien dzieciak imieniem Trey czepiał się John Johna, wyzywając go od emerytów, bo chłopak miał z przodu głowy kępkę siwych włosów.

Taki się już urodził. Było to jego znamię. Trey dokuczał mu z tego powodu przez całe życie. Ciekawe, że po zgoleniu głowy ta siwa plamka przypominała raczej ślad po grzybicy, co dawałoby lepszy pretekst do żartów, którego Bit na pewno by nie zmarnował, gdyby nie to, że John John był jego ziomalem z paczki Łysoli. Ale Trey był nie dość bystry, by to zajarzyć.

— John John, jesteś urodzonym seniorem — wołał.

— John John, wyglądasz, jakbyś zamierzał przejść na emeryturę od razu po gimnazjum — wołał.

— John John, już niedługo będziesz potrzebował chodzika, żeby... chodzić — wołał.

— John John...

Trey nie dostał już kolejnej szansy, by powiedzieć *John John*, bo pięść Bity wylądowała na jego twarzy z taką prędkością, że *padł padł* na środku chodnika. Na szczęście nieopodal znajdowała się pani Post pilnująca dzieci przechodzących przez ulicę, która zajęła się cuceniem chłopaka. A w czasie, gdy była tym zajęta, Bit ulotnił się biegiem z miejsca zdarzenia.

Tak samo zachował się w obronie Francji, gdy jacyś koleś nabijali się z jej ogolonej głowy i przezywali ją *Franky*, choć dziewczyna nigdy nie zwracała na nich uwagi. Nigdy się tym nie przejmowała. Zawsze umiała ignorować tego typu zaczepki. Była ponad to i w ogóle. Ale nie Bit. Bit brał się do bitki bez wnikania w szczegóły. A kiedy w pobliżu nie kręciły się żadne inne osoby, to po tym, jak już poczęsto-

wał swoich przeciwników nasenną piąchopiryną, brał się za przetrząsanie ich kieszeni. Ale szukał wyłącznie drobnia-ków. Naturalnie.

Dziewczyna taka jak Trista nie potrzebowała, żeby Bit robił za jej ochroniarza. Z takimi laskami jak ona lepiej nie zadzierać. Zdecydowanie lepiej. Mogłaby cię rozpirzyć w drzazgi pojedynczym zdaniem. A poza tym była córeczką tatusia, który wpoił jej znajomość sztuk walki. *Tae-kwondo Trista*. Wszyscy widzieli jej kopnięcie z półobrotu na szkolnym przeglądzie talentów i to wystarczyło, żeby nikt nie próbował nadwerężyć jej cierpliwości. Włącznie z Bitem.

Cała czwórka zasłużyła sobie na opinię dzieciaków budzących z troską ciało pedagogicznego. Takich, którym obrabia się tyłek w pokoju nauczycielskim. Takich, które uważa się za należące do grupy wysokiego ryzyka. To właśnie im pani Wockley groziła palcem i kręciła głową, gdy tylko widziała, jak maszerują korytarzem albo siadają razem przy stole podczas swoich sekretnych spotkań w porze lunchu. To, jacy byli — połączenie błyskotliwości i brawury — martwiło wszystkich dookoła.

— Gotowi? — zapytał Bit i oparł stopę na ławce, przywołując całą grupę do siebie. Tylko Trista nie zwróciła na to uwagi. Rozmawiała właśnie z jakimś chłopakiem, który odpowiedział jej niezgrabnie, jakby obleciał go strach czy coś w tym guście. Żadna niespodzianka. — Trista. — Bit zerknął na nią znacząco.

— Gotowi, gotowi. — Trista dołączyła do reszty, wyciągając z tylnej kieszeni spodni swoją komórkę, by sprawdzić czas. — Szesnaście po trzeciej.

— Furgonetka przyjeżdża za godzinę — oznajmiła Francy.

— Sprawdźmy, ile mamy — zasugerował John John, otwierając dłoń. Kilka dziesięciocentówek. Jakaś pięciocentówka. Wszyscy pozostali sięgnęli do kieszeni, po czym powrzucaли znalezione w nich drobniaki do złożonej w garść ręki John Johna. Parę następných pięciocentówek. Niektóre były znalezione w slotach do wydawania reszty na ustawionych w stołówce automatach z przekąskami. Inne pochodziły z głębi kieszeni niczego niepodejrzewających chuderlawych chłopaków noszących bezlitośnie obcisłe dzinsy. Kilka monet zostało znalezionych wśród śmieci zmiecionych do kąta przez pana Muncha, szkolnego woźnego. Takie drobniaki trzeba było odcedzić od farfocli, papierków po gumie i frotek do włosów. Były tam jeszcze dziesiątaki i piątaki zgarnięte z biurek nauczycieli. Ale tylko z blatów. Nigdy z szuflad.

Tym razem nie trafiły się żadne ćwierćdolarówki. Niestety.

Trista pogrzebała palcem w drobniakach, licząc.

— Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt sześć, osiemdziesiąt siedem, osiemdziesiąt osiem, osiemdziesiąt dziewięć...

— Dziewięćdziesiąt? — zapytał Bit, spoglądając to na dłoń John Johna, to w stronę podwójnych drzwi. Pani Wockley zawsze czaiła się zbyt blisko, by dało się opuścić gardę.

— Tak. Tylko dziewięćdziesiąt centów — potwierdziła Trista, przeliczając drobniaki jeszcze raz. Odwróciła się w kierunku Bity, który bujał się do przodu i do tyłu, podenerwowany. — Myślisz, że to wystarczy?

Bit splunął.

— Damy sobie radę. — Ruszył przed siebie, a pozostali podążyli jego śladem, przeciskając się przez tłum, aż w końcu wydostali się na otwartą przestrzeń. Przeszli na drugą stronę i zaczęli maszerować główną ulicą, Portal Avenue, którą przemykały mijające ich auta i rowery. Co jakiś czas pojawiały się też autobusy, zarówno miejskie, jak i szkolne, warcząc silnikami i piszcząc hamulcami, a z ich rur wydechowych buchały kłęby dymu.

Mimo że mieli mało czasu, buzie im się nie zamykały. Zwłaszcza Francy nie mogła się powstrzymać od kłapania jadaczką — co przytrafiało jej się zawsze, gdy była zdenerwowana — i wypytywała John Johna, czy słyszał kiedyś o kimś noszącym imię Satchmo, bo w jej grupie na zajęciach z hiszpańskiego był chłopak nazywający się Satchmo Jenkins, a Francy spodobało się to imię.

— Nie. Ale nie słyszałem też nigdy o kimś, kto nazywałby się Francy — odparł John John, wzruszając ramionami.

— No tak, ale Francy to skrót od Francis — odparła dziewczyna.

— Hm, A może Satchmo to skrót od... Satchmo... *reece*... Maurice... Satchmaurice... Satchmo... Satchmocha... Satchmocha latte... Satch...

— Satchmo *Money* — wypalił Bit, zirytowany tą niemądrą pogawędką Francy i John Johna, podobnie jak zresztą niemądrą rozmową, którą Trista próbowała prowadzić z nim samym.

— Pytam serio, Bit — odezwała się Trista monotonnym głosem. — O czym napiszesz? — Miała na myśli ich pracę z angielskiego. Pani Broome zażyczyła sobie, żeby każdy uczeń napisał, jakby to było być czymś innym. Właśnie tak: nie osobą, tylko rzeczą.

— Ile razy mam ci powtarzać, że nie wiem — odparł Bit. Obok nich przemknął szkolny autobus. — Co powiesz na szkolny autobus? Czy to wystarczająco dobry pomysł jak na twój gust?

— Nie bardzo — stwierdziła Trista. Autobus zaczął zwalniać przed przystankiem, czemu towarzyszył głośny pisk hamulców. Bit zakrył sobie uszy.

— Nie cierpię tego dźwięku. Tak naprawdę to byłbym autobusem, który potrafi latać. Dzięki temu nie wciskałbym hamulca i nie robiłbym całego tego hałasu. — Chłopak zerknął na Tristę. — I co ty na to?

— Powiem tylko, że absolutnie umiem wyobrazić sobie siebie w tej roli: szkolny autobus spadający z nieba. — Trista zaśmiała się pod nosem, ale na tyle głośno, by Bit ją usłyszał.

— Ha, przynajmniej wtedy zmieniłbym się w raketę.

* * *

Pokonali sześć przecznic, po czym skręcili w Crossman Street i zatrzymali się przed pierwszym domem. Tym stojącym na rogu. Był to starszy budynek, na którego dziedzińcu stało kilka zaparkowanych samochodów. Na podjeździe znajdował się sprzęt do grilla i niski plastikowy rower na trzech kółkach. Ogólny chaos, ale to właśnie tutaj mieszkała mistrzyni gastrofazy, pani CeeCee.

Pani CeeCee była lokalną dilerką cukierków od czasów, gdy rodzice Łysoli sami byli dziećmi. Słyszała z tego, że dbała, by wszyscy dostawali taką samą porcję łakoci, bo wiedziała, że nie każdy może się wybrać do sklepu na rogu. Na rogu Crossman Street nie było żadnego sklepu. Właściwie to nie dało się tam znaleźć żadnego sklepu w obrębie pięciu przecznic. Wobec tego pani CeeCee musiała wziąć tę rolę na siebie. A jej największą zaletę stanowiło to, że była czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Idąc w ślad za Bitem, Łysole pokonali gęsiego tor przeszkód ustawiony na podjeździe, po czym nacisnęli dzwonek u drzwi, który wydał z siebie dźwięk przypominający melodyjne ziewnięcie, coś jakby właśnie obudzili jakąś starszą osobę. Potem Łysolom pozostało już tylko nerwowe oczekiwanie. Ale Bit, którego rozpierał wewnętrzny ogień i niecierpliwość, musiał zadzwonić ponownie.

I jeszcze raz.

— No dalej — zaburczał. — Nie mamy całego dnia.

— Wyluzuj — rzuciła Franczy. — Wiesz, że ona nie lubi się spieszyć.

I rzeczywiście, kilka sekund później usłyszeli szuranie kapci pani CeeCee prześlizgujących się z wolna po podłodze, a potem zza drewnianych drzwi dobiegł ich jej głos.

— Idę, już idę. Tylko nie popuście w gacie.

Trista uśmiechnęła się na te słowa, bo pani CeeCee zawsze wspominała o popuszczaniu w gacie, jakby do jej domu zdarzało się dzwonić wyłącznie ludziom rozpaczliwie potrzebującym skorzystać z ubikacji.

Drzwi otworzyły się na oścież i w progu stanęła gospodyni tego miejsca. Drobna kobieta z przypominającą kapeluszkruczoczną peruką, którą specjalnie nosiła lekko przekrzywioną na bok. Włosy wyglądały na zbyt ciemne, zwłaszcza w porównaniu z kilkoma siwymi włoskami sterczącymi z podbródka pani CeeCee. Miała na sobie turkusowy dres z obciętymi nogawkami i rękawami, w których miejscu dyndały luźne nitki przypominające niebiesko-zieloną pajęczynę. Kostki kobiety nosiły ślady opuchlizny, podobnie jak jej policzki. Gdyby nie włosy oraz rozsiane na skórze piegi, pani CeeCee wyglądałaby z twarzy jak niemowlę. Za to jej głos przypominał brzmieniem silnik ciężarówki.

— Patrzcie tylko, kto przyszedł: Ene, Due, Rike i Fake — stwierdziła, wskazując po kolei palcem na każdego z Łysoli.

— Czego tu szukacie?

— No więc... — zaczął John John, bo to właśnie on przemawiał zwykle w imieniu całej paczki. Był tym miłym. Pogrzebał w kieszeni, po czym otworzył dłoń, pokazując

wszystkie srebrne i miedziane monety. — Mamy dziewięćdziesiąt centów i...

— Potrzebujemy cukierków, pani CeeCee — wypalił Bit. Potem zaczął klaskać w ręce, powtarzając: — Po-trze-bu-je-my-cu-kier-ków.

— Bit. — Głos Francy brzmiał jak ostrzeżenie, żeby chłopak się uspokoił, ale Bit wcale tak tego nie odebrał.

— Co? Przecież *potrzebujemy*. I goni nas czas! — Postukał w swój nadgarstek, na którym wcale nie było zegarka. Udał, że sprawdza godzinę w taki sam sposób, jak sprawdza się tętno. Był żywy, to jedno nie ulegało wątpliwości.

— Zachowuj się — rzuciła Trista, nie tracąc spokoju. Była wręcz aż do przesady spokojna. Była tak spokojna, że nawet pani CeeCee zrobiła krok do tyłu. Bit umilkł. Sapał, przekręcił nadgarstek, a potem wymamrotał — Nawijaj, John John.

— Mamy dziewięćdziesiąt centów i potrzebujemy tyle cukierków, ile może nam pani dać — wyjaśnił John John.

Pani CeeCee obrzuciła całą czwórkę spojrzeniem, zaczynając od najwyższego John Johna, a kończąc na Bicie.

— Czy warto się interesować tym, co wam chodzi po głowie? — zapytała, a dzieciaki zrobiły takie miny, jakby to pytanie w ogóle nie padło. Jak gdyby kobieta nic nie powiedziała. Wobec tego pani CeeCee również zachowała się tak, jakby niczego nie powiedziała. — Zaczekajcie tutaj.

W domu pani CeeCee obowiązywała ta szczególna zasada, że dzieciom nie wolno było tam wchodzić bez nadzoru.

Staruszka знаła zarówno same dzieciaki, jak i ich rodziców, ale zawsze zachowywała wielką ostrożność względem swoich młodych gości, bo w końcu taka sytuacja stanowiła wątek przewodni każdego programu o porwaniach, jaki zdarzyło jej się oglądać, a przecież nie chciała, żeby ludzie ją o to posądzali. Bo wcale nic takiego nie robiła. W związku z tym Łysole musieli poczekać kilka minut przy drzwiach, dopóki pani CeeCee nie wróciła z małym, kartonowym stolikiem. Ustawiła go tuż za progiem, po czym wyciągnęła pudełka cukierków z małego schowka położonego tuż obok drzwi, tam, gdzie większość ludzi wiesza swoje płaszcze.

Następnie ustawiła pudełka na stoliku.

— OK, dla tych, którzy płacą centami, piątakami i dziesięćkami mamy dzisiaj w ofercie stary towar.

— Zawsze tak pani mówi, kiedy tu zaglądamy. Nikt nie ma ochoty na zatęchłe cukierki, pani CeeCee — zareagował Bit, walcząc ze sobą, żeby zapanować nad tonem swojego głosu.

— Wcale nie są zatęchłe, Britton. To tylko starsze modele cukierków. Kojarzycie te buty Michaela Jordana, na które wydajecie tyle kasy, żeby tylko w dalszym ciągu je produkowali? Mamy tu właśnie coś takiego. Cukierki w stylu retro. Trudne do zdobycia i kosztowały tylko centa za sztukę, kiedy byłam małą dziewczynką, ale wam naliczę o cztery centy więcej. Podatek od chojractwa. — Bit przechylił głowę. Pani CeeCee od razu odpowiedziała tym samym. — Niech cię to czegoś nauczy, synku. A poza tym wszystko z czasem drożeje.

— Inflacja — stwierdziła Francy.

— To mi wygląda raczej na deflację — wymamrotał pod nosem Bit, obmacując swoje kieszenie.

— Co ty tam mówisz? — zapytała pani CeeCee, dołączając ostatnie pudełko do zaaranżowanej na stoliku wystawy.

— Nic — odpowiedział John John zamiast swojego przyjaciela.

— Ok, wszyscy znacie kartę dań — stwierdziła pani CeeCee.

— Mam toffi Mary Jane, karmelki Tootsie Roll i Squirrel Nut Zipper...

Bit starał się, jak mógł, powstrzymać od śmiechu, ale z jego gardła wyrwało się pojedyncze parsknięcie. Mimo że był twardym, morowym chłopakiem, nazwa tych ostatnich cukierków i tak zawsze wywoływała u niego głupawkę.

— Daj jej skończyć — rzuciła Francy, nie panując nad własnym chichotem.

— Karmelki Squirrel Nut Zipper — powtórzyła pani CeeCee, po czym wróciła do recytowania swojej listy. — Dropsy Life Savers, pojedynczo pakowane. Toffi Bit-O-Honey, czekoladki Charleston Chews, guma do żucia Bazooka, oraz... — Staruszka ponownie zajrzała do schowka, mamrocząc coś pod nosem, po czym wróciła na swoje miejsce. — To chyba już wszystko, co możecie dostać za swoje fundusze.

Łysole nachylili się nad stolikiem i wbili wzrok w cukierki, próbując zdecydować, które powinni wybrać. W końcu głos zabrała Francy.

— Jak uważasz, Bit?

— Och, *teraz* to cię obchodzi moje zdanie — odparował chłopak.

— Nie musisz się zawsze czepiać o takie drobiazgi — upomniał go John John.

— Po prostu wiemy, że ty wiesz lepiej od nas, co z tym począć — wyjaśniła Francy. — No wiesz... jak to... wykorzystać.

— Dokładnie — stwierdziła Trista, drapiąc się w głowę. Pani CeeCee zasłoniła uszy.

— Nie chcę tego słyszeć. Nie chcę tego słyszeć.

Bit odwrócił się w jej stronę.

— A więc mówiła pani, że to cukierki z czasów pani młodości, prawda?

Pani CeeCee opuściła ręce na dół.

— Zgadza się.

— To które z nich są pani ulubione?

Pani CeeCee powiodła wzrokiem po powierzchni stolika.

— Hm. Musi wyjść na remis między ciągutkami Mary Janes a Life Saversami. To masło orzechowe zmieszane z syropem w Mary Janes było jak raj na ziemi. Ale małej Cecelii wydawało się, że czysty cukier w Life Saversach naprawdę ratuje jej życie.

— W takim razie weźmiemy tyle sztuk z obydwu rodzajów, na ile nas stać.

Pani CeeCee zaczęła odliczać cukierki i kilka sekund później przed Łysolami leżało osiemnaście należnych im sztuk. Dziewięć ciągutek. I dziewięć dropsów.

John John wsypał drobniaki do dłoni pani CeeCee, a Bit zaczął zgarniać słodycze.

— To na razie, pani CeeCee — rzucił, od razu kierując się w stronę ulicy.

— Któregoś dnia nauczysz się lepszych manier, chłopcze — odparła kobieta. — Powiedz swojej mamie, że się za nią modlę. A skoro już o tym mowa, to modlę się za wszystkie wasze mamy. Głupole.

— Łysole — poprawiła ją Franczy z uśmiechem na twarzy.

— A tak, Łysole. Ramole. Nieważne. Dla mnie zawsze będziecie głupolami.

— No *daleeej*. — Bit czekał już przy wejściu na podjazd i przestępował z nogi na nogę, zniecierpliwiony. — Nie mamy czasu.

* * *

Cała czwórka wróciła na główną ulicę. Na ruchliwą Portal Avenue, po której sunęły auta i ciężarówki, oraz inne dzieciaki — niespiesznie maszerujące na piechotę ze szkoły do domu.

— Policzyłaś już, Franczy? — zapytał John John, wyciągając z kieszeni zmięty plik torebek śniadaniowych.

Franczy była najmądrzejsza ze wszystkich Łysoli, kiedy trzeba było coś obliczyć. Potrafiła żonglować liczbami w głowie w taki sposób, że Bit i John John musieliby użyć kalkulatora, by jej dorównać, a Trista potrzebowałyby pewnie zapisać dwie kartki żmudnymi rachunkami.

— Osiemnaście sztuk. Dzielimy je na pakuneczki po trzy sztuki w jednym. To oznacza sześć pakuneczków. Sprzedajemy je po dolarze od łebka.

— Wychodzi tylko sześć baksów — stwierdził Bit.

— Owszem i to wystarczy — odparł John John.

— Nie. Potrzebujemy więcej. Możemy zdobyć więcej. — Bit odwrócił się na pięcie i zaczął maszerować tyłem, by móc rozmawiać ze swoimi przyjaciółmi twarzą w twarz. — Znam tych kolesi. To znaczy: znam *takich* jak oni. Nie noszą drobniaków do wydawania reszty. Nigdy. Więc policzymy im po półtora dolara za sztukę, a oni dadzą nam dwa dolary. A tak w ogóle, to przecież nie mamy czasu na takie transakcje, więc zróbmy po prostu trzy pakunki po sześć cukierków. Dwa i pół dolca od łebka. Dadzą nam po trzy dolce od jednego i...

— Będziemy mieli dziewięć. — Sami widzicie, chociaż to Franczy była najlepsza z matematyki, to Bit miał najlepszego nosa do kombinacji. Nie da się zaprzeczyć.

Gdy dotarli na Placer Street — na którą praktycznie pogнали po skończeniu obliczeń — zatrzymali się, zdyszani, na rogu i porozdzielali cukierki. Po trzy Mary Janes i po trzy Life Saversy do trzech torebek.

Trista ponownie wyciągnęła komórkę z tylnej kieszeni.

— Jest już trzecia czterdzieści pięć. Mamy piętnaście minut.

— Musimy się sprężyć — rzuciła Franczy, zwijając torebki i zamykając je zasupłanym u góry węzłem.

Kiedy doszli do kolejnej przecznicy, znaleźli się przed budynkiem, który wyglądał, jakby miał swoje lata, ale na jego fasadzie widniał szyld z napisem **PLACER POOL**.

Łysole zatrzymali się na zewnątrz i przez moment gapili się na fasadę, zbierając się na odwagę, by wejść do środka. Ale niezależnie od tego, na ile im to wyszło, gdy tylko Bit rzucił:

— Gotowi? — nie oglądając się, ruszył w stronę drzwi budynku. Kiedy je otworzył, rozległo się brzęczenie dzwonka i chłopak znalazł się w zadymionym wnętrzu, a John John, Trista i Francy podążyli w ślad za nim.

W środku panowała cisza, jeśli nie liczyć stukotu, jaki wydała kula bilardowa uderzająca o drugą kulę. Potem zapadła kompletna cisza. Starzy mężczyźni, wyglądający jak wielkie humanoidalne pety z niehumanoidalnymi petami przyklejonymi do warg, odwrócili się w ich stronę i wbili wzrok w Łysoli. Po kilku sekundach niezręcznego milczenia Bit wypiął odważnie klatę, wyprostował się jak struna i oznajmił:

— Mamy cukierki do sprzedania.

Zza starego drewnianego baru wyszedł jakiś mężczyzna.

— Nie wolno ci tutaj wchodzić, dzieciaku. — Bit wiedział, że nie wolno mu było przebywać w tym miejscu. Wiedział, że nie wolno tam się pałętać nikomu z jego paczki. Ale obserwował ten lokal już od jakiegoś czasu. Przesiadywał po drugiej stronie ulicy i patrzył, kto wchodzi do środka

i na jak długo tam pozostaje. Widział dym ulatniający się z wnętrza za każdym razem, gdy ktoś otworzył drzwi. Widział przeklinających mężczyzn, którzy nawijali o tym, ile pieniędzy stracili, ale również takich roześmianych, którzy przechwalali się wygranymi. To miejsce należało do bilarzystów, ale Bit dostrzegł w nim coś więcej — było to miejsce stworzone dla cwaniaków.

— Czy ja cię przypadkiem nie znam? — zapytał jakiś inny mężczyzna.

— To nie ma żadnego znaczenia — odparował Bit. — Ja i moi kumple sprzedajemy cukierki. Jeśli kapujesz, to kupujesz. — Ten greps zrobił wrażenie na John Johnie, Triście i Francy. Mieli już okazję słyszeć, jak Bit rzuca takimi tekstami. Nie był to pierwszy taki przypadek. Któregoś razu zdarzyło im się zajrzeć na salę do bingo, gdzie usłyszeli, jak Bit wmawia jakiejś staruszce, że jest jej szczęśliwym talizmanem, przy którym nie potrzeba jej niczego więcej. Ale tym razem przemawiał inaczej. W jego głosie dało się słyszeć stalową determinację. Było w nim coś ostrego, czego nie słyszeli nigdy dotąd.

A tamten mężczyzna rzeczywiście go znał. Kojarzył go z dzielnicy. Kiedyś naprawiał auto jego mamy. A Bit nie odstępował go wtedy na krok, tylko stał obok z groźną miną przez cały czas, kiedy facet pracował pod podniesioną pokrywą maski wozu, na wypadek gdyby zachciało mu się oszukać mamę Bitą.

— Nie chcemy żadnych cukierków. Więc może...

— A co powiecie na Mary Janes i Life Saversy? — wtrąciła Francy, podnosząc torebki do góry, jakby były wypełnione złotymi monetami.

— Tak. Mamy Mary Janes i Life Savers — potwierdził Bit, który ani myślał dać za wygraną.

— Mary Janes? — zawołał z głębi sali jakiś facet z opaską na oku. Odłożył kij bilardowy na stół i podszedł w stronę Łysoli. — Co wiecie o Mary Janes?

— Wiemy, że je mamy. I jeszcze Life Saversy.

— Pojedynczo pakowane — dodał John John, bo pani CeeCee nieustannie podkreślała ten szczegół.

Mężczyzna zachichotał.

— Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałem w ustach Mary Janes. — Klepnął w plecy stojącego obok faceta. — A ty?

— Lata temu. Dawnymi czasy jeździłem na południową stronę miasta, żeby odwiedzić swojego dziadka, a on zawsze miał w kieszeni coś w tym rodzaju. Nawet kiedy się rozpuściły, były dobre. A babcia częstowała nas cukierkami truskawkowymi, a kiedy jej się kończyły, dawała nam wiśniowe Life Saversy.

— I jeszcze cukierki maślane — wtrącił jakiś inny koleś.

— *Ha*, że już nie wspomnę o tych, yyy... o Squirrel Nut Zippers — odezwał się kierownik lokalu.

— Wszystko pięknie, panowie... — Bit postanowił przerwać tę wyprawę w krainę wspomnień. — Ale ktoś już zwrócił uwagę, że nie wolno nam tutaj wchodzić, więc...

— Po ile? — zapytał ten z opaską na oku.

Bit odwrócił się i zerknął na swoich przyjaciół. Prawie niedostrzegalnie poruszył brwiami. Tylko na tyle, żeby zdołali to zauważyć.

— Torebki po sześć sztuk. W każdej trzy cukierki z każdego rodzaju. Dwa i pół dolara.

— Dwa i pół! Przecież to cukierki za centa! A przynajmniej tak było, kiedy dorastałem. — Mężczyzna z opaską na oku nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Moja mama opowiadała, że benzyna kosztowała jednego dolca za litr, kiedy była mała — odparował Bit.

— A ja słyszałem, że jordansy kosztowały jakieś osiemdziesiąt baksów — dodał John John, ponownie kradnąc odżywkę pani CeeCee. — Chyba wszystkie ceny idą do góry.

Łysole jak na komendę wzruszyli jednocześnie ramionami.

— Powiem wam, co nigdy nie było tanie. Dzieci — stwierdził ten z opaską na oku.

— A ja powiem *wam*, co trudno znaleźć. Mary Janes — oświadczył jeden z pozostałych bywalców lokalu, grzebiąc w kieszeni. W oczywisty sposób nie miał pojęcia, że tuż za rogiem mieszka pewna starsza pani, u której można kupić te cukierki. — Powiedziałeś dwa i pół dolca?

— Owszem — odparł Bit, podskakując nerwowo na palcach.

— Będziesz miał wydać resztę?

Bit znowu zerknął na swoich przyjaciół. I jeszcze raz poruszył porozumiewawczo brwiami.

— Nie.

Mężczyzna wyciągnął z portfela trzy dolary. Wręczył je Bitowi, a Francy podała mu pierwszą torebkę.

— Dziękuję — odezwała się Trista.

— Hej, wygrałem tę kasę od niego — odparł mężczyzna, wskazując na swojego rudowłosego kumpla, który tylko się roześmiał i wymamrotał coś pod nosem. — Ósemka w szóstej łuzie. *Hura!* — Kupiec potrząsnął triumfalnie pięścią.

I to wystarczyło. Pozostałe torebki rozeszły się w mgnieniu oka, bo, jak się okazało, bywalcy salonów bilardowych mają to do siebie, że nie lubią, by ktoś ich przyćmił. John John, Francy i Trista mieli wrażenie, jakby całe pomieszczenie było pełne dorosłych Bitów. Z przyszłości.

Dziewięć dolarów później Łysole skończyli wychodzić na ulicę, choć jednocześnie prawie skończył im się już czas. Trista nawet nie zwracała sobie głowy sprawdzaniem komórki. Wiedzieli, że są spóźnieni, bo zobaczyli, jak furgonetka z lodami odjeżdża ze swojego stałego miejsca przed piątym domem przy Placer Street. Nie było jej tam, kiedy wchodzili do salonu bilardowego — podjeżdżała na swoje stanowisko codziennie o czwartej i nigdy się nie zatrzymywała, jeśli nie czekały tam na nią żadne dzieci, tylko znikiała dwie minuty po czwartej.

A w tym momencie było już trzy po czwartej.

Wobec tego Łysole zerwali się do biegu.

Cała czwórka pognała ulicą, sadząc susy i krzycząc za furgonetką, żeby się zatrzymała. W połowie przecznicy

wreszcie zahamowała. Łysole podbiegli do wozu i zaczęli klepać rękami w jego boczną burtę. Kierowca otworzył okienko.

— Prawie się rozminęliśmy — stwierdził lodziarz. Wyglądał raczej jak czyjś starszy brat niż jak lodziarz. — Co mam wam podać?

— Cztery lody włoskie o smaku wanilii — zamówił Bit.

— W kubku czy w wafelku?

— W kubku.

— Z posypką?

Francy, John John i Trista popatrzyli na Bitę.

— Hm, jasne — odparł chłopak.

— Na wszystkich czterech?

— Tak. — Bit nie zapytał nikogo z przyjaciół. Ale nikt nie zaprotestował.

Lodziarz zaczął podawać przez okno kubki z lodami doprawionymi obficie tęcząową posypką. Bit przekazywał je dalej, aż każdy z Łysoli dostał swojego, po czym wręczył sprzedawcy dziewięć dolarów.

— Kosztują tylko osiem — stwierdził mężczyzna.

— Dolar dla pana — odparł Bit. — Dzięki, że się pan zatrzymał.

Gdy furgonetka odjechała, John John, Trista, Francy i Bit pokonali spacerkiem kilka przecznic, aż wreszcie znaleźli się przed małym budynkiem, w którym każdy z nich był już wcześniej. Trista i Francy zawsze mówiły, że jest uroczy, John John nijak się o nim nie wyrażał, zaś dla Bitę był to

rodzinny dom. Chłopak wyjął klucze z kieszeni i otworzył drzwi.

— Mamo! — wrzasnął. — Jesteś ubrana?

Kilka sekund później z głębi pomieszczenia wyłoniła się mama Bity, pani Burns, i została przywitana przez całą czwórkę Łysoli, którzy ściskali w dłoniach nietknięte kubki z lodami. Nikt nie wziął nawet jednego liza. Nie brakowało nawet jednej łyżeczki lodów. Pani Burns popatrzyła na nich z miną, która była jednocześnie pogodna i pochmurna. Skóra kobiety straciła gdzieś swoją normalną, brązową barwę.

Mama Bity miała nawrót choroby.

Rak zaatakował ponownie, ale lekarze byli pełni optymizmu, że pani Burns zdoła go kolejny raz pokonać.

— Hej. Co się tutaj wyrabia? Jak było w szkole? — zapytała mama Bity, całując syna w czoło. Ale chłopak zbył jej pytanie wzruszeniem ramion.

— A jak tobie minął pierwszy dzień chemioterapii?

— Och, było... sami wiecie. Jak to na chemioterapii. Wszystko gra. — Ale w jej głosie pobrzmiwało wyczerpanie, a mówiąc te słowa, masowała sobie brzuch. — Trochę mi niedobrze.

— Właśnie tak sądziłem. Dlatego przynieśliśmy ci trochę lodów. — Bit wykonał zamaszysty gest obu rękami, niczym gospodarz jakiegoś telewizyjnego show, wskazując na cztery kubki. — Waniliowe — dodał. Pozostali Łysole patrzyli, jak Bit cwaniak, Bit, który zamienił dziewięćdziesiąt centów na dziewięć dolarów — a potem na lody — zmienia

się w syna. Wystraszzonego syna. Syna, który kocha swoją mamę.

Pani Burns uśmiechnęła się, wodząc rozświetlonym wzrokiem po ich twarzach i po ogolonych głowach, od przyjaciela do przyjaciela.

— Z posypką.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

W opowieści rozpisanej na dziesięć przecznic dzieją się rzeczy zwykłe i niezwykle! Towarzysząc bohaterom w ich eskapadach, możesz się śmiać albo tylko uśmiechać, wzruszać się albo po prostu być obok i na koniec zadać im pytanie:

JAK ZAMIERZACIE ZMIENIĆ ŚWIAT?

beyA.
beyA.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-283-9925-9



9 788328 399259

cena: 39,90 zł